

Śladami „Trylogii” i po Ukrainie Zachodniej

Rozpoczynamy cykl artykułów *Śladami „Trylogii” i po Ukrainie Zachodniej* przygotowany przez koleżankę Elżbietę Dąbrowską. Są to refleksje z wyprawy zorganizowanej przez Wielkopolską Izbę Lekarską.

Każde opisanie wrażeń, przeżyć związanych z wyjazdem na Ukrainę – czy może być ciekawe, szczere, spontaniczne, prostolinijne – ocenicie to sami.

Długo zastanawiałam się nad wyborem głównego wątku, który szczególnie zainteresowałby czytelnika w tak obszernym materiale (w trakcie wycieczki zapisałam notatkami ok. 15 stronic formatu A4), i stwierdziłam, że opisywanie zabytków jest bardzo prozaiczne, ponieważ standardowe informacje można znaleźć w pięknych albumach, przewodnikach czy folderach dostępnych w każdej księgarni, nie mówiąc o Wikipedii.

Moją intencją z wyboru było przekazanie Wam tych refleksji, które mnie zachwyciły, które poruszają w duszy Polaka najgłębsze, osobiste struny. Opis wycieczki spróbowałam także wypełnić wiadomościami – tymi „żywymi, bieżącymi” i zasłyszczanymi z ust wyśmienitego przewodnika, a takim niewątpliwie była Ada Mandziuk, Polka z rodowodu, a lwowianka z urodzenia i zamieszkania. Nie umieściłam więc zdarzeń z historii, tych krwawych, okrutnych ani tych pomyślnych i szczęśliwych dla przeciętnego mieszkańca Ukrainy.

Moim najszczerzym zamiarem było więc pokazanie piękna tej krainy, kołysanych wiatrem miodowych łąnów zbóż, sięgających po horyzont kukurydzy i słonecznikowych pól i sochystej zieleni nieużytków.

Właśnie po wycieczce, której organizatorem była WIL, a realizatorem firma Mediterraneum, mam takie odczucie. Może sprawiła to pogoda – niezawodnie słoneczna i upalna? Tylko jedno deszczowe przedpołudnie nie zostawiło na nas suchej nitki aż do koszuli i chlupiących, przemoczonych butów. Wielki wpływ na mój tak radosny odbiór wycieczki miał też pilot ze wspomnianej firmy, Andrzej Gajda, no i sami uczestnicy. Ale teraz opiszę swoje wrażenia po kolei.

Dwa dni przed wyjazdem mąż powiesił przede mną mapę rozmiarów takich, które widywaliśmy na lekcjach historii czy geografii, mówiąc mi, że wisiała ona (odkąd on pamięta) całe życie na ścianie głównego pokoju w domu, w którym mieszkamy. Była więc świętością! Po II wojnie światowej w domu mieszkał stryj męża – w latach 30. kwatermistrz Leszczyńskiego Pułku Piechoty u pułkownika Grota-Roweckiego. Na dole mapy widnieje napis: Instytut Kartograficzny im. E. Romera – wyd. w 1928 r. Na górze: Polska. Miejscowości, które miałam zobaczyć, leżały w granicach ówczesnej Polski!

Rudki, Sambor, Drohobycz, Truskawiec, Stanisławów (Iwano-Frankowsk), Jaremcza, Kołomyja, Czerniowce, Chocim, Okopy Św. Trójcy, Kamieniec Podolski, Trembola, Tarnopol, Wiśniowiec, Krzemieniec Podolski, Poczajów, Olesko i Lwów – to miejsca wymienione w programie wycieczki w „Biuletynie WIL” i te, z którymi osobiście – rodzinnie związani byli niektórzy uczestnicy. Ze względu na te drugie odrobinę zmieniono trasę. To wielki ukłon ze strony pilota, osoby najważniejszej, bo odpowiedzialnej za realizację programu.

Najważniejsze dla uczestników były nasze historie, pisane życiorysami rodziców i dziadków. Jechałam naładowana wspomnieniami dwóch moich koleżanek 80-latek. Były to ich rodzinne strony. Drobiazgowo opowiadały mi zdarzenia, te piękne ze swoich dziecięcych lat i te tragiczne z lat okupacji. Część z tych zdarzeń została „udokumentowana” na uporządkowanym od niedawna Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Staaliśmy do zbiorowego zdjęcia wykonanego przez miejscowego fotografa, poleconego przez przewodniczkę – dobry końcowy akcent wycieczki.

A moje wspomnienia? Dziadek mojego męża był na kuracjach w Truskawcu, a moja najstarsza babunia mieszkała na wysokości Zamojszczyzny za Bugiem, skąd po zamążpójściu przeniosła się do Lublina. Jej bracia zaś z racji swojego zawodu trafili do Żagania i Żarów, na „ziemie odzyskane”, do zmilitaryzowanych jednostek. Moja mama nieraz swoim pięknym koloraturowym sopranem „opowiadała” „Polesia czar”. Moja „warszawska” ciocia urodziła się w Grodnie.

Uczestnicy wycieczki to... całe rodziny (babcie, dzieci i dojrzałe wnuki), a jednocześnie mieszkańcy prawie połowy północno-zachodniej Polski. Może zaledwie połowę stanowili lekarze WIL. Już od pierwszego dnia po południu autokar zamienił się w wesoły autobus za sprawą kilku młodzieńskich lekarek z pięknymi głosami śpiewających, oczywiście z pamięci, piosenki i przyśpiewki lwowskie, ukraińskie, cygańskie czy ludowe i te z lat dziecięcych... polskie. Mieliśmy niebawem szczęście, bo wśród nas był kolega dr Ryszard Krawiec. Kto go nie zna? On to w sytuacjach najbardziej stosownych cytował swoje wiersze (bo nie znała ich ta druga połowa wycieczki) i podrzucił nam tekst „Ukraina – wersja wycieczkowa”. Z tekstem piosenki przed nosem, kto miał odwagę, przyłączał się i... to się nazywa dobry nastrój na tak uroczej i sentymentalnej wyprawie.

Sam tytuł wycieczki był wymowny i zobowiązujący, prowokujący organizatorów do odpowiedzialnego przygotowania się: będziemy zwiedzać przede wszystkim miejsca opisywane przez Henryka Sienkiewicza, drugiego Polaka, który w 1905 r. został laureatem literackiej Nagrody Nobla za „epicki styl osiagający szczyty artyzmu”. To ocena komitetu noblowskiego za całość twórczości pisarskiej. Pilot wywiązał się znakomicie ze swojej roli, szczególnie jako znawca „Trylogii”, uzupełniając



swoją wiedzą opowieści naszej przewodniczki – Polki i lwowianki – Ady od odwiedzanych w danym momencie miejscach i zdarzeniach. Cytował fragmenty „Trylogii” z intonacją aktora – artysty, jak gdybyśmy byli widzami opisywanych na bieżąco zdarzeń. W czasie jazdy w autokarze urozmaicał nam czas złołymi myślami autorytetów wszystkich czasów.

Pani Ada pięknym, literackim językiem polskim ze swadą lwowianki opisywała nam wszystko z dużą dokładnością świadczącą o wyjątkowej znajomości dat i historii, zdarzeń militarnych i politycznych, nazwisk, ale także legend czy ciekawostek lub zwyczajów krainy i zamieszkujących ją ludzi od zarania dziejów po dzisiejsze czasy. Muszę zaznaczyć, że na każdym kroku zwracała szczególną uwagę i wypunktowywała akcenty polskości tych ziem i zdarzeń historycznych z nimi związanych.

Na początku ostrzegła, abyśmy nie próbowali mówić po rosyjsku, ponieważ na zachodniej Ukrainie ten język jest bardzo niemiłe widziany.

Po przekroczeniu dość sprawnie granicy polsko-ukraińskiej skierowaliśmy się do Rudek. To moja druga wycieczka do Lwowa i do Rudek – majątku Aleksandra Fredry. Dworek Fredrów zobaczyłam bardzo podupadły. Jest w gorszym stanie niż 20 lat temu, kiedy jeszcze był w posiadaniu szkoły rolniczej. Nadal widoczne jest jego neorenesansowe piękno, o które zadbał sam poeta i komediopisarz. Odwiedziliśmy kościół, w którego podziemiach spoczywają szczątki rodziny Fredrów. Po starannym odrestaurowaniu przez prężnego polskiego księdza nie przypominał tego sprzed 20 lat. W latach 80. oglądaliśmy, szczególnie wewnątrz, tylko odrapane mury i robotników budowlanych, czyli miejscowych parafian. W świątyni był wtedy magazyn, prawdopodobnie z nawozami sztucznymi.

Pierwszego dnia odwiedziliśmy też Sambor, gdzie siedzibę ma Dom Polski, a odrestaurowanym kościołem opiekują się polscy księża zmartwychwstańcy. Po południu, przy pięknej słonecznej pogodzie, zajechaliśmy do Truskawca. To najsłynniejsze i najlepsze uzdrowisko Polski w okresie II Rzeczypospolitej. Odkrył je Teodor Tarasiewicz, a od 1836 r. budowę i rozbudowę zainicjowali dwaj Polacy. Z Truskawcem związanych jest wiele polskich nazwisk. Szczególnie należy wymienić prekursora onkologii, prof. Uniwersytetu Wileńskiego Kazimierza Pelczara. Ze względu na drogocenną wodę mineralną „Naftusię”(nie można jej butelkować) odwiedzało Truskawiec wiele znamienitych osobistości, m.in. Józef Piłsudski czy Jan Kiepu-

ra. Uszami wyobraźni słyszę „brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki...”. Nocowaliśmy w okazałym prywatnym hotelu postawionym na terenie polskiego cmentarza w centrum Stanisławowa (Iwano-Frankowsk). To w tutejszej katedrze odbyła się ceremonia pogrzebowa Wołodyjowskiego w 1648 r., którą uświetnił swoją obecnością hetman Jan III Sobieski. Tutaj Franciszek Karpiński napisał pieśni „Bóg się rodzi” i „Kiedy ranne wstają zorze”. To tutaj na głównej ulicy – deptaku podziwialiśmy przedwojenne cuda secesyjnej zabudowy i współczesnej sztuki kowalskiej – wyniosły pomnik różany i bogato zdobioną huśtawkę, na której siadaliśmy do zdjęć.

Trudno nie zachwycać się kolejnymi miejscowościami, jak Kołomyja czy Czerniowce. Tu wracam do opowiadań pani Ady, która dużo mówiła o wielkim przywiązaniu do pielęgnowania zwyczajów ludowych, szczególnie związanych ze świętami religijnymi czy zwyczajów regionalnych zaślubin lub zwyczajów na cmentarzach. Każda matka własnymi rękoma haftowała córce bluzeczkę, synowi koszulę, co miało stanowić symbol macierzyńskiej opieki i bezpieczeństwa. Haftowane płócienne ręczniki wieszane są do tej pory na krzyżach cmentarnych, a wszelkie ważne uroczystości zaczynają się ceremonią witania chlebem położonym na haftowanym ręczniku. Sól jest też ważnym bogactwem ziemi ukraińskiej. Nie udało się Moskałom za czasów ustroju komunistycznego na Ukrainie wszczepić ducha ateizmu. My byliśmy sami świadkami wielkiego ukraińskiego święta – Uśpienia Matki Bożej 28 sierpnia, kiedy cała ludność Czerniowców brała w nim udział ubrana w tradycyjne haftowane stroje. Ulice tego przepięknego secesyjnego miasteczka, gdzie jedna kamieniczka od drugiej jest piękniejsza, podczas I i II wojny światowej nie uległy zniszczeniu. Żyły tam społeczeństwa pięciu narodowości, często koligając się ze sobą. Stawiano świątynie katolickie, ormiańskie, prawosławne, rumuńskie i żydowskie – jedna piękniejsza od drugiej. Każda ze społeczności dla potomnych uwieczniła na krawężniku głównej ulicy – deptaka nazwę miasta w swoim języku. Te ulice wypełniły się spacerującymi „ruchomymi kwiatami” wyhaftowanymi na strojach uśmiechniętych, radosnych kobiet. W małych Czerniowcach jest ok. 40 świątyń. Tak ludność Ukrainy, rozumiejąc, że „wiara nie uczy nic złego”, okazuje przywiązanie do wartości duchowych, jaką jest ich pokoleniowy przekaz rozumienia religii i tolerancji wobec ludności wielowyznaniowej.

CDN.